

ROZDZIAŁ 16

Bartosz 'Rorsarch' Boroński

Zima, część 3

13

Siedział na podłodze schronu i oglądał telewizję, leciał właśnie stary serial o jakimś genialnym doktorze, chodzącym o lasce. Miał wtedy może dziesięć lat, ale wizja pracy lekarza wciągnęła go jak diabli. Chociaż schronowy lekarz, dr Steinman wydawał się być szaleńcem, wizja pomagania innym była wspaniała. Na jedenaste urodziny wylądował u doktora, bo złamał nogę, spadając ze skrzynek w magazynie, gdzie bawił się w chowanego. Nastawianie nogi strasznie bolało, ale w pamięć wrył mu się mały, żółty pingwinek, którego dostał od Steinmana. Mała gumka, która była nieco nadgryziona przez ząb czasu, towarzyszyła mu bardzo długo. Z czasem zaczął dostrzegać, że świat rzeczywisty jest daleki od ideału. Kiedy dostał się do gimnazjum, poznał moc taniego alkoholu, który lał się strumieniami na urządzonych w ukryciu imprezach. Dzięki niemu zobaczył wiele przypadków moralnego upadku, które sprawiły, że już nigdy nie poszedł na żadną imprezę. Nigdy nie lubił dużych zgromadzeń, jednak od tamtego czasu nie miał już nawet zamiaru w nich uczestniczyć. Po ukończeniu pierwszej klasy przysiągł sobie, że nigdy nie stanie się elementem tego zepsucia. Oznaczało to częściowe wykluczenie ze społeczeństwa schronu, gdzie stare pokolenie powoli wymierało, a władze obejmowali młodzi, naiwni ludzie, ale nie przeszkadzało to mu. Zaczął się coraz pilniej uczyć, chcąc być lepszym od tych wszystkich, którzy wyblagiwali dobre oceny. Ciężko pracując, dostał się na praktyki do doktora Steinmana, który widział w nim materiał, na swojego zastępcę. Słyszał, jak doktor mówi, że ma ogromny potencjał, kiedy obraz rozmazał się, i jak przez mgłę usłyszał:

– Żyje, ale chyba zapadł w śpiączkę. Podaliśmy wodorowęglan sodu, udało się nam oczyścić jego organizm, ale fosgen zdołał zakłócić tymczasowo pracę jego mózgu.

Siedział na izbie przyjęć z rodzicami, płakał. Prawa noga bolała jak diabli, od kiedy spadł z kontenera. Doktor wezwał ich do siebie i wspomagany przez rodziców, wszedł do gabinetu. Steinman natychmiast pomógł mu położyć się na kozetce i obejrzał jego nogę, po czym wykonał badanie rentgenowskie, jednocześnie podając mu środki przeciwbólowe i pytając go, co mu się stało:

– Spadłem z kontenera, kiedy bawiłem się w magazynie.

– Ech, szaleństwo. Dla mnie chyba już za późno, ale może ciebie ocali. – powiedział tajemniczo Steinman. – Poczekaj chwilę, dam ci coś. Zaraz noga przestanie boleć. – doktor wyjął igłę z jego żyły i kazał przytrzymać gazik, po czym z kieszeni fartucha wyłuskał małą gumkę, w

kształcie pingwinka. Była trochę wypłowiała, ale widać było, że niegdyś pingwinek był żółty.

– Dostałem go dawno temu, ale teraz już nie jest mi potrzebny. Dla mnie był czymś więcej niż zwykłą gumką, może tobie też to się udzieli i zainspiruje do czegoś.

– Dziękuję panu, – odpowiedział uradowany malec. – skąd pan go ma?

– Ktoś mi go kiedyś podarował. – odparł z tajemniczym uśmiechem lekarz, a błysk w jego oku sprawił, że wydał się przez chwilę normalny, jakby to wspomnienie, o którym teraz myślał, przywróciło go do normalności. Ale momentalnie lekko się zgarbił i powiedział, patrząc do komputera.

– Złamane dwie kości, nastawię, ale to chwilę potrwa.

Wyświechtaną gumkę nosił ze sobą zawsze, choć nie wiedział czemu. Właśnie trzymał ją w jednej dłoni, a w drugiej miał puszkę taniego piwa z kantyny, wyniesionego przez syna barmana – Krzysztofa. Miał czternaście lat i był na jakiejś schronówce. Nigdy nie lubił picia na pokaz, czemu wręcz czasem były zadedykowane takie imprezy, ale robił to ze względu na znajomych. Jakaś dziewczyna podbiegła do niego, błagając go o to piwo, sprawiając wrażenie zdesperowanej. Miała popisane ręce imionami niemal wszystkich na imprezie, widać było, że wypła już zdecydowanie za dużo. Widział przedtem jak dzwoniła do kogoś, gadając dziwne rzeczy przez domofon. Jak się potem dowiedział, wydzwaniała do swojego przyszłego chłopaka, który nie mógł zaakceptować potem jej imprezowego stylu życia. Aktualnie jednak próbowała mu zabrać puszkę z ręki, jednocześnie prosząc o nią łamiącym się głosem. Stanowczo zaprotestował, odepchnął ją i wypił obrzydliwe piwo. Usłyszał odgłos wymiotowania za kanapą, ktoś nie wytrzymał ilości wypitego alkoholu i zwrócił go. Jakaś dziewczyna tańczyła pijana niemal nago na środku pokoju, pijana publiczność przyklaskiwała bądź paliła papierosy, pokazując jacy cool oni są. W tym momencie zrozumiał, że toceń moralny tego ograniczonego świata jest potężny i nie ma sensu mu się oddawać. Zgniół puszkę, wrzucił do kosza i wyszedł, niemal niezauważony. Schodząc po schodach, przyrzekł sobie, że nigdy nie przyjdzie na żadną imprezę. Po prostu nie pasował tam jak i zachowanie uczestników się mu nie podobało. Wszyscy pokazywali, jacy to dorośli są, że potrafią wypalić całą fajkę i się przy tym nie zakrztusić, czy wypić

puszkę browara w dziesięć sekund. Doszedł już do wyjścia z klatki schodowej, gdy nagle zobaczył dwie głowy nad sobą.

— Rorsarch, słyszysz nas?

Spróbował ruszyć ręką, podniósł lekko prawą i natychmiast zemdlął.

Miał dziewięć lat i szedł z kolegą do magazynu. Jego rodzice byli wtedy jeszcze urzędnikami niższego szczebla w schronie, co popchnęło go do mało etycznej metody pozyskiwania dóbr materialnych, znanej bardziej jako kradzież. Wynosili małe zabawki, głównie w czapkach bądź wkładali do kieszeni, gdy kobieta pilnująca magazynu czytała gazetę. Weszli do małego, ciasnego pomieszczenia, jak zwykle mając plan coś zwędzić. Wypatrzyli małą ciężarówkę, która spodobała się jego koledze. Niepostrzeżenie włożył ją kieszeni kombinezonu. Nagle jego kompan wybiegł ze sklepu a starsza pani popatrzyła na niego groźnie i kazała wyjąć dłoń z kieszeni, w której to spoconą ręką trzymał ciężarówkę. Wyjął ją i ujawnił skradzioną zabawkę. Magazynierka wyjęła ją i uderzyła go mocno w rękę, chcąc ukarać go za próbę kradzieży. Nie czekając długo, wybiegł z magazynu, z płaczem. Wtedy zrozumiał, że kradzież nie jest rozwiązaniem, a wszystko można osiągnąć ciężką pracą. To wydarzenie wywarło na niego olbrzymi wpływ, chociaż obawiał się, że rodzice dowiedzą się o jego występku, czym groziła mu starsza kobieta, kiedy uciekał. Następnego dnia spotkał się z kolegą w szkole i przestraszeni postanowili nigdy więcej nie zbliżać się do magazynu, w obawie przed zdemaskowaniem. Jednak dopóki oboje się nie wyprowadzili z miasta, strach towarzyszył im cały czas. Właśnie to uczucie wzbudziło w nim wstręt do czynów karalnych. Paranoiczne przekonanie, że ktoś się dowie o tym, co złego zrobił, było najgorszym brzemieniem. Podczas podróży przez Pustkowie jednak spod tej definicji wymknęło się zabijanie ludzi, które było niemal koniecznością.

Wspomnienie zakłócił krótki przeblysłk świadomości, nic jednak nie słyszał. Siedział w pokoju schronowym, miał może piętnaście lat. Oglądał jakiś stary mecz piłki nożnej ze współlokatorami, kiedy do ich pokoju bezwstydnie wszedł jeden ze starszych dzieciaków i „poczęstował” się połową pizzy, która została w kartonie. Kazał mu ją odłożyć i podszedł do niego, na co ten zareagował odepchnięciem go wolną ręką. Nigdy nie pamiętał kolejnych kilkunastu sekund. Odpalił się w nim wewnętrzny szalenciec, który powalił przeciwnika i przystawił mu nóż do gardła. Ocknął się dopiero, kiedy kolanem przyciskał przerażonego licealistę i

trzymał w prawej dłoni nóż, przystawiając go mu do krtani. Ofiara zarzekała się, że już nigdy nie weźmie pizzy. Zszokowany tym, co się stało, zszedł z niego i zabrał nóż, na co starszak wybiegł spanikowany z pokoju. Od tego czasu starał się panować nad emocjami, przez co był uważany za niewrażliwego i zimnego człowieka. Nigdy nie walczył z tą opinią, przynajmniej ludzie dawali mu spokój i nie był narażony na odpalenie swojego szału. Coś takiego nigdy więcej się nie powtórzyło, jednak umiejętność panowania nad emocjami była bardzo przydatna. Pomogła mu przetrwać egzamin kończący edukację schronową, kiedy większość podchodzących do niego miała biegunkę i zżerał ich stres. Nie tylko dlatego, że imprezowali zamiast się uczyć, ale egzamin był bardzo ważny w wyborze przyszłego zawodu. Na jego podstawie było przydzielanym się na praktyki. Zdał egzamin z najlepszym wynikiem w schronie, stając się wrogiem numer jeden większości jego, teraz już byłych, znajomych. Na praktyce u doktora nie było łatwo, siedział po nocach nad książkami, gdyż Steinman potrafił na tydzień zamknąć się w gabinecie i pracować nad, jak to nazywał, Projektem Wyzwolenie. Wtedy szwendał się bezcelowo po schronie, podpatrując ludzi. Pamiętał sytuację, gdy pewien chłopak, po dostaniu kosza od dziewczyny, popchnął ją ze złości na ścianę. Nigdy nie czuł się obrońcą uciśnionych, jednak ten brak szacunku dla dziewczyny wzbudził w nim złość, szybko wygaszoną. Podeszedł do delikwenta i spytał go, czy takiego traktowania dziewczyn uczył go ojciec, przebierając go za kobietę i rzucając nim po ścianach. Wzbudzając śmiech gawiedzi, wiedział dobrze, że sprowokował przeciwnika, który usiłował oddać cios pięścią. Widząc jego zamiar, usunął się w bok, następnie wymierzył od tyłu kopniaka w zgięcie kolan, powodując upadek oponenta. Ten nie zdążył spowolnić upadku i stracił kilka zębów, uderzając szczęką w twardy granit, wyścielający posadzkę holu. Choć może i był zimnym człowiekiem, znał pojęcie szacunku i honoru. Kiedyś ustalił sobie kilka surowych zasad, których trzymał się kurczowo, przez większość życia. Obraz holu, na którym zgromadzone było już sporo ludzi, zniknął i pojawiła się salka medyczna i dr Steinman. Był już nieco starszy, niż w poprzedniej wizji, wykladał właśnie teorię mózgu cybernetycznego i opowiadał o swoich badaniach, mających na celu połączenie mózgu ludzkiego ze sztuczną inteligencją. Pod koniec wykładu, doktor jak zwykle przepytął Rorsarcha. Wyraźnie zadowolony ze stu procentowej poprawności odpowiedzi, neurolog dał mu swoje zapiski. Wtedy nie miał pojęcia, w co się pakuje. Nie wiedział o doświadczeniach na ludzkich

mózgach, w których brał udział Steinman. Póki co pracował aż do końca studiów nad wszczepami neuronowymi, które mogły przyspieszać pracę mózgu użytkownika. Odtwarzał je z doktorem na podstawie jego niewyraźnych szkiców. Przed Wojną udało się przeszczepić z sukcesem kilka mózgów, chociaż o pierwszej udanej próbie Steinman nie opowiadał zbyt wiele, jakby panicznie się jej bał. Z dziennika doktora wynikało, że pracował w jakimś ośrodku wojskowym, daleko od Krakowa. Kiedyś spytał go, jak trafił do tego schronu.

– To nie jest ważne! Ci głupcy, myśleli, że mnie oszukają! Chcieli zatrzymać taki dar dla wojska! – nagle doktor zaczął krzyczeć i wymachiwać rękoma jak furiat.

– Jaki dar? – przekrzyczał go Rorsarch.

– Wynoś się! Nie powiem nic o Projekcie o! Przysięgałem! – Steinman cisnął w niego książką. Rorsarch uciekł ze szpitala i wrócił po kilku dniach, kiedy Steinman już nic nie pamiętał, jednak nigdy więcej go o to nie pytał.

– Obudził się, przeżył! – krzyknął ktoś.

*

Leżał na jakimś dziurawym łóżku polowym, jego prawe przedramię bolało go okrutnie. Podwinął rękaw płaszcza i koszuli i zobaczył miejsce wielokrotnych iniekcji, które spowodowały najprawdopodobniej przedziurawienie żyły i spuchnięcie tego obszaru. Do namiotu wbiegło kilku ludzi z dowódcą garnizonu na czele.

– Cieszymy się, że przeżyłeś, tylko dzięki tobie zdobyliśmy miasto.
– zaczął przemawiać głównodowodzący.

– Zdobyliście? Wy je wymordowaliście! Trzy granaty z gazem bojowym, frajer którego można wysłać żeby to rzucił i miasto zdobyte! I niby wy macie chronić Federację przed nazistami? Stosując te same metody, co oni? – zaczął krzyczeć Rorsarch, zwracając na siebie uwagę poza namiotem.

– Jak myślisz, miałem poświęcić tę garstkę ludzi, która przeżyła, ryzykując przegraną, czy zdobyć miasto bez problemów? Mam to w dupie, czy oni by przeżyli czy nie! Zabili zbyt wielu moich ludzi i miałem jeszcze dbać, żeby im się nic nie stało podczas strzelaniny z nimi? Spieprzyłeś sprawę z rozwiązaniem tego bez rozlewu krwi, więc my wzięliśmy sprawy w swoje ręce.

– Ale ty tylko wydałeś rozkaz „Zdobądźcie miasto” i siedziałeś z dupą z tyłu i obserwowałeś pole walki przez lornetkę! To nie ty byłeś przy rzucaniu granatów z fosgenem, ciebie nie będzie dręczyć sumienie!

– Sumienie? Dzisiejszy świat to prawdziwa dżungla, albo zabijasz albo jesteś zabijany! Nie ma czegoś takiego jak sumienie. Spójrz na siebie, ilu ludzi zabiłeś? Ilu kolejnych ciężko zraniłeś? Nigdy nie miałeś żadnych problemów a teraz nagle się rozklejasz? Co jeszcze, może jak ta pierdoła Włóczykij, założysz klasztor i zaczniesz pomagać potrzebującym? To jest wojna, tu nie ma zasad. Każdy ma w dupie konwencję genewską, czy co tam jeszcze było. Myślisz, że oni zawahaliby się, gdyby mieli taką broń w swoim arsenale? Idź i ich spytaj, może znajdziesz jakiegoś, który jeszcze żyje. Sam masz szczęście, że przeżyłeś! A ty mi tu pierdolisz o sumieniu.

– Bo to już kiedyś spotkało mnie coś podobnego! Przez to stałem się pozbawiony uczuć człowiekiem, zdolnym pociągać za spust bez oporów! Ale sam do tego doprowadziłem, pomimo tego, że nie do końca z własnej woli, rozumiesz? Większość czasu jaki spędziłem podróżując, rozmyślałem nad tym, co zrobiłem, w końcu pogodziłem się z prawdą i przebaczyłem sobie. Ale teraz? Będą wytykać mnie palcami, „Truciciel Bydgoszczy”, „Rzeźnik Pustkowi”. Co z tego, że czasy się zmieniły? Mordowanie całych społeczności zawsze było potępiane, a wy, pod szyldem walki z ludźmi stosującymi takie metody, wyrzynacie w pień spory fragment inteligentnej rasy! Rzygać mi się chce taką obłudą!

– Nikt nie będzie wytykał ciebie palcem, bo oficjalnie ciebie tam nie było – skontrolował spokojnie dowódca. – Zostałeś ranny podczas strzelaniny a gaz rozpylił ktoś inny. Jesteś znakiem rozpoznawczym Federacji i nie mamy zamiaru robić z ciebie ludobójcy.

– W takim razie wasz znak rozpoznawczy idzie w cholerę, zanim wpadnie w szal mordowania.

– Rób co chcesz, ale jak ochłoniesz, przyjdź tutaj, za kilka godzin rozpoczyna się tutaj narada w sprawie kolejnej operacji wojskowej.

– Znowu będziemy kogoś mordować? Może tym razem jakąś kulturę, która przetrwała na naszych ziemiach? Hej, co powiecie na rzeź Arabów? Słyszałem, że gdzieś w Lubuskiem mają swoją wioskę. – rzucił ironicznie Rorsarch, po czym ubrał się w maskę, gogle i kapelusz, i opuścił namiot. Wyszedł zdenerwowany na siebie, że nie sprawdził co jest w tych granatach, na wojskowych, którzy bez mrugnięcia okiem wydali rozkaz wybicia miasta w mało honorowy sposób. Wiedział, że nie ma wyjścia i musi z nimi współpracować, gdyż byli jedyną szansą na

odnalezienie i wyjaśnienie sobie paru kwestii z jego byłym mentorem. Usiadł na jakimś murku, i poczuł się znów jak wtedy, kiedy Steinman na miesiąc zamknął się w gabinecie. Rorsarch już wtedy pracował jako lekarz, zastępując swojego starzejącego się mentora. Jednak wciąż nurtowało go kilka spraw, na przykład zaginięcie dwóch strażników schronu, jak i kwestia przeszłości Steinmana. Kompletował stare gazety i nośniki danych, przeglądał kroniki zapisane na centralnym serwerze. Znalazł doniesienia o jego sukcesach, jak i o jego zniknięciu z ośrodka badawczego pod Wrocławiem w 2041. Zostało to tylko zakwalifikowane jako „rutynowe przeniesienie”. Wciąż miał jego stary dziennik, który okazał się mieć drugie dno. Niezbyt czytelne zapiski na marginesach okazały się pismem lustrzanym. Siedział akurat w fotelu i odcyfrowywał notatki, kiedy przybiegł Krzysztof, jego znajomy z czasów dzieciństwa.

— Cześć, co robisz? Bo organizują mecz koszykówki i chcielibyśmy żebyś wpadł.

— Hmm, może za jakąś chwilę. Tylko dokończę tę stronę. — odparł mu Rorsarch.

— Nadal odcyfrowujesz notatki tego starego pierdziela? Zazdroszczę ci cierpliwości, ja bym to dawno spalił w cholerę. A właśnie, podobno ktoś znalazł nagrania z kamer ochrony z zeszłego roku, kiedy zniknęli ci dwaj przy reaktorze. Nie widać najlepiej, ale chyba zostali ogłuszeni i gdzieś zaciągnięci. Właśnie przeszukują wszystkie zakamarki, ale po takim czasie to nic nie znajdą.

Rorsarch zaczął się zastanawiać, nad tym co właśnie czytał. Niewyraźne notatki brzmiały: „Projekt 22 się niemal powiódł, jeszcze tylko kwestia podporządkowania sobie obiektu. Jest ekstremalnie podatny na sugestie, muszę sprawić, żeby słuchał tylko mnie. Chyba uda mi się przeprogramować przekaźnik tak, żebym tylko ja mógł nim sterować. Ci głupcy chcą wykorzystać to wszystko do swoich wojenek. Cóż za imbecyle, przecież można dać ten Dar całemu światu, a nie garstce bezmózgów. Jutro usprawnią mu protezy, to wtedy zainstaluję przerobiony przekaźnik. Dar musi być przekazany!”

Nie wiedząc kompletnie czym jest ów Dar, przypomniał sobie jak spytał doktora o jego przeszłość. Nagle przekartkował kilka stron do tyłu, ignorując stojącego w drzwiach Krzysztofa i zaczął czytać na głos:

— Nowe protezy są szybsze o blisko 40% od poprzednich, a zużywają dwa razy mniej smaru. Jutro będziemy przeszczepiać je do modelowego egzoszkieletu. Problem pozostaje ten sam, jak skutecznie i

szybko przeszczepić najwrażliwszą część obiektu doświadczalnego. — połączył tę informację z poprzednią oraz z metalowymi protezami, jakie często leżały w gabinecie doktora, oraz z nową informacją o zaginięciu dwójki strażników.

— Wiesz, ja tu wciąż jestem. — odparł Krzysztof.

— Jasna cholera, wiem co robi Steinman! Konstruuje cyborgi!. Szybko, biegnij po strażników, ja postaram się go zająć!

Wybiegł z pokoju, uprzednio porywając przemycony pistolet i dwa magazynki. W schronie nie można było posiadać broni, jednak odpowiednimi drogami można było sobie załatwić kilka sztuk, przez co człowiek czuł się bezpieczniejszy. Biegł do szpitala, wymachując bronią, co torowało przejście. Kiedy dojechał na miejsce, zaczął uderzać pistoletem w drzwi gabinetu doktora.

— Steinman! Wiem, co robisz! Wyłaź stamtąd, natychmiast! — krzyczał gniewnie.

Bez odpowiedzi. Wycelował w zamek i strzelił dwa razy. Otworzył dziurę kopniakiem i zamarł w bezruchu. Wewnątrz stało pięć humanoidalnych robotów, z dużymi zbiornikami na plecach. Nie miały broni, ale ich mechaniczne ręce były wystarczająco groźne.

— Przyjmij Dar jako pierwszy! — krzyknął Steinman. — Nie bój się!

Roboty ruszyły w jego stronę, syntetyzatory mowy zaczęły chrobotać i rozległ się metaliczny głos „Potrzebuję twojego mózgu”. Rorsarch stał przerażony, nogi miał jak z waty. Podniósł broń i wycelował w pierwszego robota, jednak nie mógł strzelić, strach paraliżował go tak bardzo, że nawet nie zareagował, kiedy jeden z robotów zamachnął się mechanicznym ramieniem i uderzył go w brzuch. Padł na posadzkę i nagle postanowił się bronić, czuł jak adrenalina zaczyna powoli podnosić ciśnienie jego krwi. Odturlał się i wstał. Roboty miały skonstruowane ciała ze złomu, przez co nie poruszały się najpewniej, ale wciąż były groźnymi przeciwnikami. Jeden z nich podniósł broń Rorsacha, która wypadła mu, kiedy upadł. Przeładował ją i zaczął strzelać w nogi, z mizernym skutkiem. Wtedy przybiegli strażnicy, uzbrojeni w plastikowe pancerze i pałki.

— O, kurwa, co to jest! — jeden z nich rzucił w stronę kolegów, po czym zaczął uciekać. Pozostali po chwili zrobili to samo, jak tylko robot z pistoletem zaczął strzelać. Na placu boju pozostały roboty ze Steinmanem oraz Rorsarch i Krzysztof. Ten pierwszy podniósł jakąś metalową rurkę, a drugi miał pałkę strażników. Robotowi skończyła się amunicja, a jego

niezdarne ramię nie było w stanie podnieść zapasowych magazynków. Cała piątka maszerowała powoli w stronę dwóch z trzech żywych ludzi na szpitalnym holu.

— Krzychu, musimy wiać! Mam jeszcze jednego gnata i wiem jak ich tu na chwilę zatrzymać! — krzyknął Rorsarch. Zaczęli we dwójkę biec do drzwi skrzydła, które kiedyś się zablokowały i tak zostały, bo jak to stwierdził jeden z techników „Po co naprawiać, i tak się zaraz rozjebie. A tak to się zacięło i gitara”. Teraz te drzwi były dla nich ocaleniem. Kiedy przez nie przebiegli, Rorsarch wbił rurkę w szczelinę między drzwiami a framugą, co spowodowało jej odblokowanie i gwałtowne opuszczenie. Roboty zaczęły już uderzać kończynami w przegrodę, co skutkowało odkształceniami metalu. Rorsarch biegł jak szalony do swojego gabinetu, gdzie ukrył nieco lepszy pistolet — Smith&Wesson 1006. Krzysztof uruchomił alarm przeciwpożarowy, co spowodowało panikę wśród ludzi przebywających w szpitalu. Kiedy Rorsarch i Krzysztof wracali z gabinetu, stali się świadkami walki między ochroną, uzbrojoną w broń długą a odpornymi na pociski robotami, które zabiły już kilku strażników i właśnie przygotowywały się do strzelania z ich broni,

— Zginiemy tutaj! — zaczął jęczeć Krzysztof.

— Nie ma co, wiejemy na powierzchnię! — wykrzyczał Rorsarch. — Za 20 minut spotykamy się przy reaktorze, zabierz co potrzebujesz i kogo potrzebujesz. Ale streszczaj się, ja spróbuję zamknąć szpital!

Rorsarch wiedział, że nie ma innego sposobu, musiał zamknąć ochroniarzy w szpitalu przy pomocy awaryjnego kodu, który odcinał tę część schronu. Zmienił kiedyś kod w sekrecie przed Steinmanem, który wydawał się wariować coraz bardziej z każdym kolejnym dniem. Podbiegł do głównej grodzi i uruchomił tryb awaryjny po czym wpisał kod 4724. Gródź zaczęła powoli opadać w dół. Rorsarch przeturlał się pod nią i pobiegło do swojego pokoju. Zabrał zapasy, trochę lekarstw i płaszcz z kapeluszem. Kiedyś, kiedy przeglądał magazyn w poszukiwaniu starych gazet, znalazł pudło komiksów. Rozdał je w świetlicy, ale jeden z nich sobie zatrzymał. Brakowało strony tytułowej, fabuła opowiadała o życiu suberbohaterów w alternatywnych Stanach Zjednoczonych w latach 80. XX wieku. Wśród nich pojawił się socjopata imieniem Rorschach. Nosił płaszcz sięgający do kolan, kapelusz i maskę z plamami doktora Hermana Rorschacha. O dziwo, zidentyfikował się z nim i zaczął poszukiwania stroju, który by go upodobnił do jego komiksowego odbicia. Płaszcz zdobył od jednego ze starszych mieszkańców schronu, który miał go na

sobie kiedy zaczęła się Wojna. Kapelusz znalazł kiedyś pod łóżkiem w klinice. Nie wiedział, skąd się tam wziął, ale to znalezisko bardzo go uradowało. Chciał zrobić sobie maskę, z opowieści ojca, pamiętał że dziadek kiedyś przerobił graficznie jedną z plam, na pamiątkę jakiegoś wydarzenia, ale teraz nie było czasu na to, żeby odwzorowywać ten symbol. Zarzucił na siebie płaszcz, schował broń i nałożył kapelusz, po czym poupychał po kieszeniach zapasy i trochę przedwojennych pieniędzy. Popatrzył na zegarek i zorientował się, że nie działa. Klnąc, wybiegł i skierował się w stronę reaktora. Po drodze natknął się na kilka trupów. Żaden z nich nie wyglądał jak Krzysztof, więc biegł dalej. Nagle usłyszał metaliczny stukot i przed nim stanął robot.

— Potrzebuję twojego mózgu. — zabrzmiał metaliczny głos. Robot był uzbrojony w jakąś rurę i stał może ze dwa metry od Rorsarcha. Ten impulsywnie sięgnął po broń i schylił się, kiedy nad nim przeleciała pchnięta z wielką siłą rura, która zapewne przebiłaby go na wylot. Strzelił na oślep kilka razy i zobaczył jak ze zbiornika zaczyna wylewać się płyn, który musiał odżywiać mózg, opracowany jeszcze przed Wojną, jak wynikało z notatek doktora. Robot jednak nie był tym zmartwiony, podniósł pojemnik, który od niego odpadł po tym jak Rorsarch strzelił i zamachnął się. Nigdy nie był pewien, co tak naprawdę się stało. Wiedział tylko, że raz wypalił z pistoletu. Najprawdopodobniej trafił robota w odpowiednik żuchwy, a ta wykonana ze złomu, rozpadła się i jej odłamki wbiły się w mózg i go poszarpały. Efekt był taki, że robot padł na ziemię. Rorsarch nie miał czasu na celebrowanie zwycięstwa, ruszył w stronę reaktora, gdzie znajdowało się awaryjne wyjście na zewnątrz, tak przynajmniej wynikało z tabliczki, która tam wisiała. Dobiegł do reaktora, gdzie czekał już Krzysztof z kradzionym karabinem. Był sam.

Ktoś delikatnie stuknął go w ramię. Obejrzał się i zobaczył żołnierza w zielonym pancerzu.

— Przepraszam, wzywają pana do namiotu dowodzenia. — powiedział nieco lękliwie.

— A, już idę, zapomniałem. Wstał i ruszył w stronę zielonej płachty, gdzie zgromadziło się kilku wysokich rangą dowódców i przyjezdny generał z Kutna.

— Widzę, że mamy już komplet. Panowie, — generał rozwinął po stole mapę okolicy z zaznaczonymi kilkoma punktami. — oto plan operacji „Wyrzutnia”.

*

Na mapie zaznaczono niebieską chorągiewką Inowrocław a czerwoną Piłę.

— Pięć godzin temu uzyskaliśmy informacje, dotyczące dwóch głowic o których doniósł nam jeden z naszych wolnych strzelców, a obecny tu Rorsarch. W Pile znajduje się stara baza wojskowa, w której znajdowały się zdemontowane rakiety nośne dla takich ładunków, oraz ich wyrzutnie. Z pięciu silosów w stanie dobrym są najprawdopodobniej trzy. Pięć godzin temu podjechało tam kilka ciężarówek, z których wysypali się naziści, potem przybyło kilka kolejnych. Zastanawia nas fakt takiego zmotoryzowania przeciwnika, ale nie to jest teraz ważne. Mamy do dyspozycji pięć kompanii Wojsk Federacji Polskiej, każda po pięćdziesięciu ludzi. Do tego trzy pięcioosobowe drużyny komandosów. Głównym celem operacji jest zabezpieczenie bądź neutralizacja głowic. Nie mamy pojęcia, jak wyglądają zabezpieczenia wrogiej strony, czym dysponują, ilu ich jest. Nasi zwiadowcy dostrzegli jednak dwie głowice, wywiezione ze Świecia, więc musimy je odbić. Pogoda jest po naszej stronie, mróz i śnieg wycofały się już na północ. Musimy jednak działać szybko, za trzy godziny w Inowrocławiu zaczyna się przegrupowanie i załadunek wojsk na transportery, pięć godzin później chcemy już rozpocząć operację. Baza na nasze szczęście znajduje się po wschodniej stronie Gwdy, nie będziemy musieli przeprować się przez rzekę. Oto mapy miasta dla was – rzucił na stół kilka materiałowych futerałów, zawierających szczegółową mapę Piły – jako że jesteście dowódcami polowymi.

Wyjął większą kopię tejże mapy i położył na stole.

— Nadjedziemy od ulicy Bydgoskiej, zatrzymamy się przy Sobieskiego. Baza otoczona jest ulicami Bydgoską, Podchorążych, Kossaka i Kasprzaka. Planujemy przedzierać się przez gęstą zabudowę po prawej stronie ulicy.

— To trochę ryzykowne, — przerwał Rorsarch. — kilku snajperów szybko i skutecznie zmniejszy liczbę naszych żołnierzy.

— Problem w tym, że po lewej stronie, gdzie chcemy zaparkować i rozpocząć działania, jest otwarta przestrzeń. Jeszcze gorzej dla piechoty. Plan polega na przedarciu się przez te uliczki i dotarciu do torowiska, równoległego do ulicy Kasprzaka. W zaznaczonym na waszych mapach

miejscu znajduje się brama do bazy wojskowej, najsłabszy punkt. Zadaniem pierwszej drużyny komandosów jest jej wysadzenie i udostępnienie drogi do naziemnej części kompleksu. Od tego momentu rozpoczyna się faza druga operacji. Macie tam odręczne mapy bazy, mniejszą wersję tej. – wyjął na stół odręczną tym razem mapę instalacji wojskowych. – Jaskrawy zielony pasek to brama, dwa czarne kwadraty po bokach to budki strażnicze. Będzie to najprawdopodobniej pierwsze schronienie przed wrogim ogniem. Brudnozielony kwadrat to plac, na którym znajduje się aktualnie kupa złomu i innego śmiecia. Na szaro zaznaczone są budynki natomiast te czerwone to najważniejsze dla fazy trzeciej. Celem fazy drugiej jest przebicie się tu – wskazał palcem znak X obok kilku czerwonych kropek. Jest to najprawdopodobniej jedyna droga do podziemnego centrum sterowania silosów, które znajduje się powyżej. Pięć kropek na lewo to otwory wyrzutni nie mamy pojęcia, które są sprawne. Trzecia faza należy do pana, panie Rorsarch i dwóch drużyn komandosów.

– Erm, że co? Nie podpisywałem umowy o pracę. – zaprotestował Rorsarch.

– Współpraca z Federacją była jednym z punktów umowy ustnej, na którą wyraził pan zgodę. Otrzymuje pan za to wypłatę i mieszkanie, jeżeli pan odmówi, zażądamy zwrotu.

– Kurwa. – ze zrezygnowaniem zakończył spór Rorsarch.

– Skoro mamy już załatwioną tę kwestię, przejdźmy do fazy trzeciej. Kiedy dostaniecie się do windy, zjedziecie do podziemnej części kompleksu. Wiemy o niej tylko tyle, że powinniście dostać się do centrum sterowania pociskami i zabezpieczyć je. W tym czasie opanujemy sytuację na powierzchni i ześlemy posiłki na dół. Obu drużynom przydzielimy technika, który będzie w stanie zneutralizować ładunki bądź zakłócić procedury wystrzelenia. Mamy zamiar oprzeć się w pełni na zaskoczeniu i liczyć na to, że nie są przygotowani do obrony. Nie mamy pojęcia na temat stanu gotowości rakiet do wystrzelenia, ani tego gdzie są wycelowane. Jak tylko dowiedzieliśmy się o miejscu przebywania głowic zmobilizowaliśmy wszystkie jednostki jakie mieliśmy pod ręką. Mam nadzieję, że spotkamy się w tym samym składzie za dziesięć godzin. Rozkazy dotyczące odpowiednich kompanii zostaną rozdane dowódcom w trakcie podróży. Ciężarówki odjeżdżają za dwadzieścia minut.

Rorsarch wyszedł z namiotu, wciąż przeklinając w myślach, że jednak nie wypytał o szczegóły, kiedy zgadzał się mieszkanie w zamian za

publikację swojego wizerunku. Wszedł do ciężarówki, w której jako świeżo upieczonemu dowódcy, przysługiwało mu miejsce obok kierowcy. Do tej operacji zmobilizowali chyba wszystkie dostępne pojazdy, gdyż transport blisko trzystu osób nie należał do najłatwiejszych zadań. Inowrocław nie leżał zbyt daleko, jednak Rorsarch czuł się zmęczony i postanowił się zdrzemnąć, mając nadzieję, że wyrzuty sumienia, które zaczynały znów o sobie dawać znać, ustąpią.

Nie wiedział, czemu Krzysztof stał sam przy reaktorze. Nigdy go o to nie spytał. Stał tam z karabinem i nerwowo bawił się jego zamkiem.

— Jasna cholera, ile można czekać! Myślałem, że już nie żyjesz! — krzyknął łamiącym się głosem.

— Udało mi się rozwalić jedną z tych maszyn. — powiedział dumnie Rorsarch.

— To na nic, popatrz tam. — Krzysztof wskazał na małe okienko, które pokazywało hol szpitala, teraz zawalony ciałami, z których część miała otwarte czaszki, które teraz ziały pustką.

— O, to skurwiel. — tylko te słowa przeszły mu przez gardło. Nagle chciał tam wrócić, wrócić i go zastrzelić. Już chciał to zrobić, kiedy Krzysztof krzyknął:

— Jak chcemy stąd wiać, to się nie gap, tylko mi tu pomóż.

Krzysztof mocował się z drzwiami, a Rorsarch wyrwany z tego otumanienia, zaczął myśleć. Nagle wymyślił.

— To na nic. Drzwi otworzą się tylko jeśli reaktor będzie w stanie zagrożenia.

— Czyli to koniec. — Krzysztof usiadł zrezygnowany. — Skończymy jako jakieś roboty. Ale ja się nie dam. — zdjął buta, założył duży palec na spust i włożył lufę karabinu do ust. — Tobie radzę to samo, przynajmniej umrzesz jako człowiek.

— Czekaj! Wiem jak rozregulować reaktor! — przerażony Rorsarch rzucił się w stronę przyjaciela i wyrwał mu karabin z ust. — Daj mi magazynek od swojego karabinu, zrobimy małą bombę i uszkodzimy chłodzenie. Otworzy to grodzie awaryjne a przy okazji rozwali reaktor i doktorka!

— Tutaj są jeszcze ludzie, na wyższych poziomach! — Krzysztof zaoponował. — Eksplozja ich też zabije!

— Wolisz, żeby oni zginęli jako ludzie, czy jako maszyny? I tak ich nie ocalimy, nie otworzysz głównej grodzi inaczej niż w trybie awaryjnym!

Obaj wiedzieli, że to jedyna możliwość, w której uchodzą z życiem. Krzysztof, zrezygnowany, podał mu magazynek. Rorsarch zaczął grzebać w szafkach i znalazł zapalniki czasowe, stosowane do konserwacji reaktora termojądrowego, dzięki którym można było ustawić ręcznie opróżnienie dowolnej komory, bez potrzeby zmagania się z komputerem, który zawsze traktował to jako zagrożenie i nie opróżniał komór paliwowych. Rorsarch do drucików podłączył materiał wybuchowy, który dał mu też Krzysztof i połączył z pociskami, których odłamki powinny uszkodzić przewody chłodzące. Zbiegł na dół i zastanawiał się, na ile ustawić minutnik, kiedy usłyszał strzały i krzyk: „Idą po nas!”. Ustawił na trzydzieści sekund i pobiegł do góry. Ledwo wbiegł, a na dole rozbrzmiał huk eksplozji. Po chwili wszystko zaczęło buczeć, reaktor zaczynał się przegrzewać. Dwa roboty szły po mostku, który oddzielał je od Rorsarcha i Krzysztofa, kiedy za nimi rozległ się zgrzyt i przejście awaryjne się otworzyło.

— Biegnij! Ja jakoś zablokuję przejście, żeby nie poszły za nami! — krzyknął Rorsarch. Krzysztof wykonał jego polecenie, choć jeszcze zanim wszedł do środka, przez chwilę strzelał do robotów. Rorsarch zaczął się gorączkowo zastanawiać, jak zatrzymać roboty. Były już w połowie mostka, niemal dochodziły do reaktora, wypełnionego plazmą. Plazma! To jest to! Ta myśl przyszła niespodziewanie, Rorsarch podbiegł do wejścia awaryjnego, odwrócił się i wycelował w ścianę jednej z komór. Liczył na to, że nie jest tak gruba, żeby nie przepuścić pocisku. Strzelił i natychmiast się odwrócił i zaczął wspinać się po drabince. Poczul falę ciepła na swoich stopach i zobaczył, że drabinka się topi. Zaczął wspinać się z niesamowitą szybkością, niemal doganiając Krzysztofa.

— Streszczaj się, gruba bambaryło! Musiałem przestrzelić reaktor, drabinka się topi!

Krzysztof posłuchał i wspinał się coraz szybciej. U góry właz otworzył się samoistnie, był jednak przykryty warstwą piachu i ziemi, która wysypała się do środka. Kiedy wyczołgali się na zewnątrz, panowała tam noc. I całe szczęście, pomyślał Rorsarch, bo w dzień mogliby oślepnąć. Zatrzasnęli właz i pobiegli przez ruiny miasta w stronę głównego wejścia, kiedy grunt pod stopami zadrżał, a kilkadziesiąt metrów za nimi w górę wystrzelił snop piachu, ziemi, metalowych

fragmentów reaktora i ludzkich szczątek. Strop schronu zatrzymał większość energii, zanim się rozerwał. Dwójka podróżników padła na ziemię, powalona siłą eksplozji. Wiedzieli, że nie ma już sensu iść do głównego wejścia, promieniowanie w schronie i okolicy reaktora musiało właśnie przekraczać wszelkie normy. Wstali i biegli jak szaleni przed siebie, byle tylko opuścić strefę eksplozji.

Ciężarówka zatrzymała się, wrywając go z zamyślenia. Przyjechali do Inowrocławia, gdzie czekały już pozostałe jednostki wojskowe, zaczęto je przegrupowywać i zasilać żołnierzami, którzy przetrwali szturm na Bydgoszcz, natomiast dowódców zaciągnięto na kolejną naradę. Tematem tej była mapa Piły i trasy poszczególnych kompanii.

— Cztery kompanie przejdą się sektorem mieszkalnym i oczyszczą go, żeby nic nie przeszkodziło w dotarciu do kompleksu. Piąta pójdzie prosto pod bazę i wysadzi mur, aby umożliwić ewakuację ludzi z silosów po wykonaniu zadania. Ciężarówki podjadą i zabiorą was stamtąd. Mamy trzy drużyny Sokołów, Maltański idzie z czwartą kompanią, pozostałe dwa z ich dowódcą razem z trzecią. Dokładne trasy są wyznaczone na mapach, które otrzymaliście. Otrzymacie zaraz zestawy łączności krótkofalowej. Jeśli chodzi o wydostanie się z podziemnej części kompleksu, ci którzy będą w silosach muszą skierować się do podziemnego magazynu. Znajduje się obok planowanego wyłomu w murze, więc wydostaniecie się tamtędy. Jeśli coś pójdzie nie tak, pozostaje wam winda którą tam wjechaliście. Zaraz dostaniecie przydział techników i ciężarówek. To wszystko, rozejść się.

Chwilę potem przybył jakiś żołnierz, który wręczył Rorsarchowi małą słuchawkę i mikrofon. Wpiął mikrofon do płaszcza a słuchawkę włożył do ucha i wsiadł do wyznaczonego pojazdu. Ruszyli po blisko godzinie reorganizacji. Większość podróży przespał, mimo dręczących go koszmarów związanych z Bydgoszczą. Było późne popołudnie, gdy dojechali do miasta. Jak niemal każda opuszczona metropolia, Piła była lekko napromieniowana i zrujnowana. Wraki samochodów niszczały powoli, stojąc w odwiecznych korkach. Ciężarówki zatrzymały się na małym placu i błyskawicznie wysypali się z nich żołnierze. Wszyscy udali się na swoje pozycje i rozpoczęli powolny marsz pomiędzy wrakami i fragmentami gruzu.

Pierwsze strzały padły zaraz po wejściu w labirynt uliczek. Pomimo obaw Rorsarcha, nie było snajperów, jednak szybko pojawiły się

kilkuosobowe posterunki nazistów, schowane za przygotowanymi uprzednio umocnieniami. Pierwszy kontakt z przeciwnikiem nawiązali zaraz po rozwinięciu odpowiedniego szyku. Rorsarch szedł prawą stroną ulicy, razem z blisko połową żołnierzy, reszta szła po lewej. Kilka strzałów oddanych zniemacka zza wraku samochodu, który okazał się małą fortecą, zmniejszyło stan osobowy o dwóch żołnierzy, powodując jednocześnie rozsypkę formacji. Wszyscy kryli się za samochodami albo większymi kawałkami gruzu, jednocześnie na ślepo strzelając w stronę nazistów. Po chwili odgłosy strzałów opanowały całą dzielnicę. Pierwsza kompania przeszła za zakręt, natomiast trzecia, którą dowodził Rorsarch, utknęła na następnym zakręcie.

— Tu Rorsarch do Jedyнки, jedynka zgłoś się.

— Tu Jedyńka, zgłaszam się.

— Potrzebujemy wsparcia, silnie umocniona wroga pozycja

— Odmawiam, sami nie możemy się przebić dalej. – głos ze słuchawki pogrzebał wszelką nadzieję.

Bardzo szybko kanał radiowy wypełnił się raportami o zatrzymaniu akcji. Skrzyżowania i część zakrętów była obsadzona małymi załogami, ale o potężnej sile ognia. Rorsarch siedząc za samochodem i starając się strzelać, przyzwał gestem dowódcę komandosów, który krył się za załomem budynku.

— Nie przejdziemy dalej! – powiedział Rorsarch, starając się przekrzyczeć odgłosy strzałów. – Powiedz swoim ludziom, żeby rozejrzeli się za studzienkami kanalizacyjnymi.

— Rozkaz!

Po chwili znaleźli włącz, który znajdował się pod małym samochodem osobowym. Podłożyli pod niego granat i usunęli przeszkodę. Obie drużyny weszły do kanału, Rorsarch wyznaczył człowieka mającego go zastąpić na górze i wszedł za nimi.

*

W podłużnej tubie kanału nie płynęła już woda, co ułatwiało przemieszczanie się. Wszechobecną ciemność rozjaśniały noktowizory, ujawniające zaskakująco dużą ilość szczątek. Idąc i oznajmiając swoją obecność chrupaniem pod butami, szli w stronę wrogiego posterunku, mając nadzieję, że znajdą tam wyjście. Sygnał radiowy zamarł i nie byli w stanie skontaktować się z powierzchnią. Nagle potężny jęk zaczął nieść się

kanalem, który zaczął drżeć i się walić. Za nimi zawaliło się dno tuby i byli zmuszeni do wędrówki w jedną stronę. Wszyscy wycelowali broń przed siebie i idąc niemal gęsiego, zmierzali w głąb, zastanawiając się, co to było. Nagle prowadzący się zatrzymał i powiedział:

— Szefie, powinien pan to zobaczyć.

Na dnie przed nim leżała wpinka w kształcie faszystowskiej swastyki, a obok miotacz ognia i coś, co przypominało nogi człowieka. Cokolwiek napadło tego człowieka, oddzieliło jego górną część ciała od dolnej. I to bardzo szybko i na dodatek niedawno, gdyż krew nie zdążyła jeszcze zakrzepnąć na ścianach i leniwie spływała na posadzkę. Rorsarch podniósł miotacz i założył zbiornik paliwa na plecy, jednocześnie starając się nie myśleć, co grasuje w kanale. Szli już dobre pięć minut i zapewne minęli już zakręt, jednak nigdzie nie było wyjścia. Szczątek było czasem więcej, czasem mniej, jednak od jakiegoś czasu na ścianach pojawiała się dziwna, zielona maź, która wyglądała na żywy organizm. Nagle kanał znowu zadrżał i spod ziemi wybiła macka, która stała się błyskawicznie celem ataku. Przysmażona przez miotacz, skręciła się i zastygła, jęk znów wypełnił kanał. Rorsarch spojrział w dziurę, z której wyszła macka i zauważył niesamowicie dużą ilość zielonej mazi oraz macek. Nie chcąc ryzykować, ponaglił wszystkich do marszu. Po blisko pięciu minutach, zauważyli drabinkę oraz właz, prowadzący na ulicę. Natychmiast podbiegli do niego i chcieli się wspiać, gdy grunt pod nimi zadrżał i rozwarł się, ściągając ich na niższy poziom. Pojawiły się kolejne dwie macki, które tym razem zaatakowały od razu, porywając jednego z techników, który krzyżąc z przerażenia, został na ich oczach rozerwany na pół. Druga macka starała się porwać jednego z komandosów, który zachował zimną krew i napakował ją ołowiem, przy pomocy swoich kompanów. Pierwsza macka rzuciła zwłokami o ścianę i zaczęła kierować się w stronę Rorsarcha, który przy pomocy palnika zadał ból istocie, która mogła je wypuszczać, co potwierdził potężny ryk. Niższy poziom był pełen rozwidleń, jednak gdzieś musiało znajdować się wejście na wyższą kondygnację. Nieoczekiwanie złapał sygnał radiowy.

— Tu Jedyńka, jesteśmy koło bazy. Jest silnie broniona, nie podejźmy do bramy.

— Tu Piątka, ewakuacja zabezpieczona.

— Tu Dwójka, nie możemy się przebić.

— Tu Czwórka dochodzimy do bazy.

— Trójka, zgłoś się.

— Tu Rorsarch, jesteśmy w kanale, straciliśmy technika.

— Co z twoją kompanią?

— Wyzaczyłem dowódcę na moje miejsce, nie mają kontaktu radiowego.

— Do wszystkich, baza jest zbyt silnie broniona, nie damy rady się dostać bez potężnych strat. Spróbujemy osłabić ich obronę, jednak w tym czasie musimy spróbować dostać się do centrum sterowania GeoDefu. Jeśli system wciąż działa, to może być nasza szansa. Był umieszczony w podziemnym centrum zarządzania kryzysowego, Rorsarch, musicie przeszukać kanały i znaleźć to centrum.

— Póki co, to coś próbuje nas zjeść.

Trzaski zagłuszyły odpowiedź, jednak mieli nowe zadanie do wykonania. Streścił szybko sytuację podkomendnym i wypatrując kolejnych macek, szli powoli przed siebie. Zielona maź na ścianach występowała w coraz większych ilościach, zaczynała też zajmować posadzkę. Kolejna macka przypęzła niemal niezauważona po zielonym pokryciu ceglanej tuby, starając się złapać za nogę któregoś z nich. Na szczęście były bardzo wrażliwe i nawet mocniejsze kopnięcie wytrącało je z równowagi. Kanał powoli się poszerzał i w pewnym momencie stanęli przed sporych rozmiarów podziemną halą, pokrytą w całości zieloną tkanką, natomiast na przeciwległym końcu znajdował się jakiś otwór, z którego wystawały macki, powolnie pełzające w kierunku intruzów. Ziejąc w ich stronę ogniem, Rorsarch zauważył jakiś szyld, jednak pokrycie zieloną mazią było zbyt wielkie, aby go odczytać. Jedyna droga wiodła w głąb tego otworu, który zapewne kiedyś był wejściem. W środku znajdowało się kilka pomieszczeń i kolejne macki, które szybko zostały wypalone. Niedziałająca winda zmusiła ich do podróży schodami, które jak się okazało miały własny ekosystem. Oprócz macek i zielonej tkanki, znajdowały się tam małe stworzenia, przypominające wyglądem żaby, jednak jak tylko zauważyły ludzi, zaczęły pluć w nich jakimś świństwem, które niemal spaliło pancerz jednego z komandosów. Wycofali się do góry i przy pomocy kilku granatów, oczyścili sobie przejście. Bez wrogich im żab, zeszli na sam dół, skąd wydawały się wydostawać macki, których kilka odstrzelili po drodze. Na najniższym poziomie znajdowało się duże laboratorium, w którym egzystował gigantyczny robak. Wypełniał niemal całą halę laboratoryjną, mającą blisko trzy metry wysokości i pięć szerokości, nie wspominając o długości. Jego otwór gębowy był zamknięty, natomiast nad nim znajdowało się sześć gigantycznych,

mięsistych macek, rozmieszczonych po trzy na stronę. Nie przypominały one tych, z którymi walczyli w trakcie przemieszczania się tutaj, takie wyrastały prosto z ciała robaka, zbudowanego z tej samej zielonej tkanki, która ozdabiała kanał. Otwór gębowy się rozwarł i potężny jęk wyrwał się z gardzieli potwora. Jednocześnie spoczywające w bezruchu gigantyczne macki, uaktywniły się i zaczęły ostukiwać całe pomieszczenie. Wtedy Rorsarch zrozumiał, że mutant nie widzi a kieruje się albo dźwiękiem albo dotykiem swoich macek. Podniósł jedną z wielu porośniętych tkanką kolb i rzucił nią o ścianę. Niemal natychmiast trzy macki uderzyły w nią z ogromną siłą, powodując jej zniszczenie i zawalenie się. Rozbiegli się po hali, jednocześnie rzucając podnoszonymi przedmiotami, dezorientując przeciwnika. Rorsarch schował się z jednym z komandosów za jakąś wielką lodówką i wpadł na pomysł pokonania robala.

— Masz granaty zapalające? – powiedział po cichu do swojego kompana.

— Mam dwa. – również szeptem odparł komandos.

— Słuchaj, przekaż na waszej wewnętrznej częstotliwości, że jak tylko zmuszę go do otwarcia gęby, wrzucicie tam tego jak najwięcej.

— Okej.

Rorsarch wychylił się zza lodówki i celnym strzałem z karabinu trafił potwora w mięsistą mackę, co spowodowało otwarcie otworu gębowego.

— Teraz! – krzyknął i po chwili swąd napalmu i palonej tkanki wypełnił pomieszczenie, razem z agonialnym jękiem mutanta. Ociężałe cielsko legło na podłodze, natomiast macki zeszywniały i padły obok dogasającego ciała. Kompleks musiał być kiedyś laboratorium, wskazywało na to wyposażenie poszczególnych pomieszczeń. W jednym z nich znaleźli kilkanaście nieudanych eksperymentów genetycznych a właściwie ich szkielety. Najprawdopodobniej mutant przypominający Sarlacca był jednym z eksperymentów, bądź powstał już po opuszczeniu kompleksu. Znaleźli sterty dokumentów zawierających opisy doświadczeń, jednak nigdzie nie było jakiegokolwiek mapy kanałów bądź kompleksu. Dopiero na jednej z niepokrytych mazią ścian, umieszczona była tabliczka z planem ewakuacyjnym i zamieszczonym wyjściem z kompleksu na powierzchnię. Zauważyli kilka odchodzących ścieżek, z czego jedna została oznaczona jako 'zabroniona dla użytkowników cywilnych'. Podejrzewając, że ta ścieżka prowadzi do centrum zarządzania, postanowili się nią udać. Opuścili kompleks, gdy nagle

jeden z komandosów przewrócił się i zaczął z ogromną prędkością zmierzać do wnętrza kompleksu. Z wrót wystrzeliła macka, która rozerwała go w pół przy użyciu drugiej. Rorsarch błyskawicznie wystrzelił płomieniem z miotacza, jednocześnie biegnąc do tyłu. Nagle ogień wygasł a pojemnik zrobił się niezwykle lekki. Rzucił go w stronę macek i uciekał przed nimi razem z resztą ludzi. Po chwili biegu zobaczyli potężne wrota, podtrzymywane przez jakieś siłowniki. Wbiegli za nie i rzucili granaty pod podrdzewiałe podpory. Eksplozja usunęła je i wrota opadły, miażdżąc macki, które zdołały się wśliznąć. Trafili do jakiegoś bunkra, który był opustoszały, jednak mieniące się w oddali czerwone światło świadczyło o tym, że awaryjne zasilanie działa. Większość lamp była stłuczona, jednak im głębiej, tym więcej ich było. Weszli do sali, w której znajdowało się kilkanaście ekranów, z czego tylko jeden działał. Technik podszedł do niego i aktywował go. Pojawił się ekran z napisem GeoDef i znakiem programu, przedstawiającym państwa Wspólnoty Siedmiu na tle tarczy, nad którą znajdował się sztuczny satelita. Po chwili wyskoczył ekran diagnostyczny.

‘Tryb awaryjny

Rozpoczynam skanowanie sieci naziemnej

Brak sygnału od pozostałych placówek

Rozpoczynam skanowanie sieci radiowej

Brak odpowiedzi

Rozpoczynam diagnostykę systemu orbitalnego

Komplet 1 Brak odpowiedzi

Komplet 2 Brak odpowiedzi

Komplet 3 Uszkodzenie krytyczne instalacji; Sprawnych dział: 0/23

Komplet 4 Uszkodzenie instalacji; Sprawnych dział 3/23

Komplet 5 Brak odpowiedzi

Komplet 6

Diagnostyka systemu zakończona. Przedstawić raport?’

Technik wpisał odpowiednie polecenie i po chwili zobaczył animację kuli ziemskiej i zaznaczony obszar działania trzech sprawnych baterii laserowych. Komplet 4 obejmował środkową Europę, więc można było mówić o szczęściu. Wpisał polecenie dotyczące diagnostyki tego kompletu.

‘Rozpoczynam szczegółową diagnostykę Kompletu 4

Sprawnych dział: 3/23

Poziom mocy w sprawnych instalacjach: 100%

Sprawność czujników termicznych ...

UWAGA! BRAK JAKICHKOLWIEK URZĄDZEŃ
AUTOMATYCZNIE NAPROWADZAJĄCYCH!

Sprawność połączenia z bazą: 89%

Czy chcesz przejść na sterowanie manualne?

— Rorsarch, nie damy rady zestrzelić głowic. Nie jesteśmy w stanie namierzyć rakiety, która może stąd wystartować. — Zrelacjonował technik.

— Dałoby radę wystrzelić do dowolnego punktu naziemnego?

— Tak, możemy chyba odpalić sterowanie ręczne. Sprawdzę jeszcze.

Technik wprowadził odpowiednie polecenie na konsoli i ekran zniknął, po czym pojawiła się interaktywna mapa Wspólnoty i duży celownik.

— Zmagazynowanej energii starczy na jakieś trzy-cztery strzały.

— Jaki będzie zasięg rażenia? — spytał Rorsarch.

— System był zaprojektowany na jak największą celność i małe uszkodzenia w zasięgu większym niż kilometr od celu. Wiązki są dość cienkie, ale powodują podniesie temperatury do olbrzymich wartości i stopienie a następnie eksplozję ładunku konwencjonalnego w bombie atomowej a przy mniejszym szczęściu również eksplozję materiału rozszczepialnego.

— Jakiej mocy mogły być skradzione bomby?

— Maksymalnie 300 kiloton. Większe bomby były odpalane od razu, te ładunki były stosowane jako rezerwy.

— Da się radę nawiązać kontakt z górą przy pomocy tutejszych urządzeń radiowych?

— Spróbuję.

Technik zaczął grzebać w jakimś nadajniku, a Rorsarch na znalezionej na półce mapce okolicy zaczął kreślić spore koła. Zauważył to jeden z komandosów i nagle pojął jego plan.

— Zamierzasz stopić silosy i bomby?

— Tylko jeśli nie uda się nam wdrzeć do bazy. Spokojnie, przeżyjemy. Bunkier jest ulokowany kilka kilometrów od planowanego epicentrum, tak wynika z mapy którą znalazłem. W promieniu 10 kilometrów od bazy będzie już bezpiecznie w momencie eksplozji. Poza tym będziemy poza miastem, kiedy to się zacznie.

— Ale jak my się stąd wydostaniemy? Eksplozja spowoduje skażenie terenu. Nie zdążymy wybiec stąd.

— W tym schronie jest coś, co nam pomoże w szybkiej ucieczce. Na razie musimy skontaktować się z powierzchnią. Ja pójdę sprawdzić to coś.

Rorsarch poszedł w kierunku windy i pojechał na najwyższy poziom, a następnie przeszedł do garażu. Znalazł tam to, o czym była wzmianka w mapie na podłodze, napisana odręcznie na jej odwrocie. Przykryta brezentem najprawdziwsza w świecie ciężarówka, do tego zatankowana. Sprawdził jeszcze stan podnośników, które miały wynieść ją na powierzchnię i działanie wrót. Wszystko wskazywało na to, że działają, więc wrócił do windy. Po drodze zatrzymał się jednak na kolejnym poziomie i wszedł do zbrojowni. Nie było tam wiele sprzętu, jednak znalazł kilka opakowań naboju energetycznych, które pasowały do jego zdobycznego pistoletu. Schował je w płaszczu i zjechał na dół. Technik zmajstrował radio i nawiązał łączność z dowództwem operacji.

— Tu Rorsarch, jesteście w stanie dostać się do bazy w najbliższym czasie?

Przez trzaski przedarła się odpowiedź.

— Nie damy rady ... obrona jest zbyt silna ...

— Rozpocznijcie ewakuację, zniszczymy silosy w inny sposób.

— Bierzesz to na siebie ... coś się stanie to ty za to ...

— Ile potrzebujecie czasu?

— Dziesięć do ... minut.

— Zrozumiałem, za piętnaście minut zniszczymy silosy.

— Przyjąłem, bez... KUUUUUUUURWA! Co to jest? – rozległ się krzyk w głośniku.

— Co się stało?

— Rorsarch, coś dziwnego wybiło spod powierzchni ziemi, jakies macki.

— Ewakuujcie się natychmiast, powtarzam natychmiast.

— Czekamy na was godzinę, dwadzieścia kilometrów od punktu startowego. Do zobaczenia.

Wychodziło na to, że Sarlacc przeżył i właśnie demonstrował swój gniew na powierzchni miasta. Spytał technika, czy można ustawić opóźnienie strzałów.

— Tak, w trybie manualnym do dziesięciu minut.

— Ustaw trzy strzały na silosy i ten niepewny jeden na dzielnicę mieszkalną. Odpalisz liczniki jak będziemy stąd wychodzić. Reszta niech

idzie już na górę i sprawdzi garaż, a następnie odpali ciężarówkę i przygotowuje się do ucieczki.

— Ciężarówkę? – spytał jeden z żołnierzy.

— A czym chciałeś uciekać? Piechotą? – spytał ironicznie Rorsarch. Komandosi pobiegli do windy, a technik zaczął wprowadzać polecenia. Nagle przywołał do siebie Rorsarcha.

— Udało mi się uzyskać obraz rzeczywisty z satelity. Jak rozumiem, mam celować w Sarlacca?

— Tak, wal w norę z której wychodzi. I przy okazji spróbuj trafić idealnie w silosy.

Obraz na monitorze przedstawiał olbrzymie macki i cielsko potwora, powoli wydostające się z podziemnej nory, w międzyczasie masakrując okolicznych ludzi. Tymczasem w bazie wojskowej panowało ogromne zamieszanie, a naziści szykowali się do ucieczki. Rorsarch kazał uruchomić sekwencję i pobiegł przywołać windę. Pojechali do góry, gdzie czekała już odpalona ciężarówka. Rorsarch usiadł obok kierowcy i zaczęli powoli wznosić się na aktywowanej zdalnie rampie. Wrota otworzyły się i zrównali się z gruntem. Kierujący pojazdem ruszył natychmiast, jadąc okrężną drogą, którą wypatrzył na mapie. Miasto powoli zapadało się, z powodu działalności gigantycznego mutanta, który niszczył budynki przy pomocy swoich macek i powoli asymilował asfalt i gruz, pokrywając go zieloną mazią. Rorsarch spojrział na zegarek – mieli jeszcze osiem minut, aby oddalić się od epicentrum. Jechali z szaleńczą prędkością, jednak wraki samochodów na drogach były olbrzymim utrudnieniem, a na chodnikach zalegał gruz. Mimo tego jakoś lawirowali między przeszkodami i dotarli do bazy wojskowej, gdzie właśnie wyjeżdżały wrogie ciężarówki. Nie czekając zbyt długo, żołnierze z tyłu samochodu zaczęli strzelać do nich, zatrzymując część z nich we wrotach. Samochód skręcił i zobaczyli gargantuiczne cielsko Sarlacca. Ciężarówka zaczęła się ślizgać na zielonej mazi, produkowanej przez potwora w gigantycznych ilościach. Jedna z macek ich spostrzegła i zaczęła miarowo uderzać w okolice jadącego pojazdu. Wyrzucili kilka granatów, które spowodowały zawalenie się jednego z budynków, dzięki czemu uwaga mutanta na chwilę zwróciła się ku hałaśliwej eksplozji. Wykorzystali to, aby przejechać do końca ulicy i dostać się na normalną drogę. Teraz jechali z pełną prędkością, pragnąc uciec przed pewną eksplozją. Byli już w bezpiecznej strefie, gdy nagle niebo zaświeciło się na różowo i we wstecznym lusterku Rorsarch zauważył krótki błysk, a następnie kolejny.

Ziemia zadrżała, z kolejnym błyskiem drżenie wzmogło się. Nagle huk eksplozji został zagłuszony przez jęk, który sprawił, iż lustro i szyba pękły. Więc starczyło mocy na czwarty strzał i Sarlacc właśnie płonął, a grzyb atomowy, który pojawił się nad miastem upewnił komandosów o powodzeniu misji. Fala uderzeniowa nie była zbyt mocna i jedynie szarpnęło nieco samochodem. Dwa grzyby wzniosły się już wysoko nad miasto i zaczynały się rozwiewać. Dojechali do połowego centrum dowodzenia, zamienionego na szpital. Wszyscy wpatrywali się w stronę miasta, które stało się kolejną ofiarą atomowego holokaustu. Powoli zaczęło budzić się sumienie Rorsarcha, stłumione przez instynkt samozachowawczy i chęć przetrwania. Wiedział, że dziś nie prześpi nocy, chociaż był potwornie zmęczony.

*

Operacja wojskowa odbiła się szerokim echem w społeczeństwie Federacji i Rorsarch z komandosami zostali okrzyknięci bohaterami. Tyle przynajmniej dowiedział się, kiedy wrócił do Torunia, wciąż szargany przez swoje sumienie, jednak nie dawał tego po sobie poznać. Jego kwatery była nienaruszona, znalazł tylko świeże zapasy w lodówce i nową kuchenkę. Podgrzewał obiad, zastanawiając się nad drugą dużą operacją, którą planował sztab wojskowy Federacji, gdy ktoś zapukał do drzwi. Otworzył i wpuścił Jerzego do środka, jednocześnie natychmiast biegnąc do kuchni i wyłączając gaz. Usadowił gościa w fotelu i zaczął rozmowę.

– Witaj, co cię do mnie sprowadza? – spytał polskiego imiennika Bonda.

– Mam pewne ciekawe informacje dotyczące przyszłych operacji sił Federacji. Rzecz jasna są tajne, ale chyba nikomu nie powiesz?

– Nie mam nawet komu. – roześmiał się Rorsarch.

– To dobrze, słuchaj. Lada dzień wyznaczą nagrodę za znalezienie leża Zdziczałych. Ostatnio zaczęli dawać się we znaki karawanom, po tej całej wojnie o Bydgoszcz, przeniosły się chyba tutaj. Oprócz tego szykują się do czegoś dużego związanego z Trójmiastem, podobno kilka dni przed Wojną przybił tam statek z Kanady z jakąś tajną bronią. No i największa i sekretna operacja. Wiem tylko, że szykuje się coś dużego, bo z każdym dniem mobilizują coraz więcej ludzi. Niby chcą ustalić stałą liczebność armii, ale ja w to nie wierzę. Zaczęli nawet dzielić się bronią energetyczną. A kilka dni temu jeden z podróżników w barze, chwalił się,

że widział jakiegoś robota i że musiał przed nim uciekać. Dosłownie chwilę później wpadł tam patrol i zabrali go stamtąd. Od tego czasu nikt głośno nie mówi o żadnych robotach, bo to chyba wrażliwy temat. Zastanawia mnie tylko, czemu nagle przypomnieli sobie o Trójmieście. Zapuscili się tam tylko raz, w celach badawczych, potem nikt nie chciał ruszać się na to zamrożone zadupie.

— Widocznie potrzebują tej tajnej broni. Zdradzę ci, że też spotkałem się z tymi robotami i to chyba one są powodem tego zamieszania. A co do Zdziczałych, dzięki za informację, wyprzedzę konkurencję o kilka dni.

— A i jeszcze jedno. To chyba tylko mit, stworzony ku pokrzepieniu serc, ale kto wie. Podobno magnat finansowy, który rozpoczął budowę tutejszego schronu, nie był jedyną osobą posiadającą taki pomysł. Ktoś kiedyś wspominał, że istnieje wiele prywatnych schronień, w których ludzie oczekują na lepsze czasy. Ktoś inny utrzymywał kiedyś, że komunikują się za pomocą Internetu, ale kto by w to uwierzył.

— Zapewne to tylko bajka, ale to normalne. Ludzie będą tworzyć takie miraży, aby mieć do czego dążyć. W tym wypadku do spokojnego i wolnego od niebezpieczeństw świata. Chociaż kto wie, jeśli istnieją, to pewnie mają swoje własne problemy. — odparł Rorsarch, klasyfikując tę opowieść jako kolejny mit.

— Pewnie masz rację, ale jakiś wędrowny gawędziarz ułożył z tego niezłą opowieść. Może jeszcze jest w mieście, poszukaj po knajpach. Jest nieco zakręcony, jego historyjka też, przeplata nasz świat ze swoimi wizjami, ale naprawdę warto posłuchać. Swoją drogą, skubany dużo wie. Wypytaj go o to czego szukasz, może ci jakoś pomoże.

— Dzięki za wszystko. Zjesz coś? — spytał gościa.

— Nie dzięki, jadłem w knajpie. Tobie też radzę się tam udać, póki ten gawędziarz tam jest.

Wyszli razem z mieszkania i Rorsarch udał się na małą wycieczkę po barach. Znalazł gawędziarza, akurat jedzącego obiad. Był ubrany w zwykłe spodnie, bluzkę z krótkim rękawem, przedstawiającą człowieka w masce przeciwgazowej, który zamiast prawego okularu miał zębate koło z cyfrą 13 a w lewym odbijał się grzyb atomowy. Zwykła, skórzana kurtka i czapka z daszkiem uzupełniały jego strój.

— A więc legenda przybywa do mnie. Siadź, zapewne przybywasz aby posłuchać mojej opowieści. — zaczął gawędziarz.

— Witaj, zanim zaczniesz, jak cię zwać?

— Mnie? Różnie, jednak ja wolę określenie Gniewny. Nawiązuje do mojej przeszłości, która dziwnym trafem może być związana z twoją teraźniejszością i przyszłością.

Uprzedzony, że to może być dziwna rozmowa, nie przejmował się tym.

— Więc opowiadaj, Gniewny.

— Na wysłuchanie czeka przed Tobą niedokończona historia, dziejąca się w wielu miastach, w której wyczytasz o tym, co dotknęło pewnego mężczyznę, który od bliżej nieokreślonego czasu nie wypowiedział ani słowa i który na swojej drodze spotka takie postaci jak arabski możnowładca, zakochana w Zieloniaku dziewczyna i wiele innych. A nawet o tobie. – tajemniczo zakończył wstęp bajarz.

